

Kayvion Lewis

ZŁODZIEJSKI GAMBIT

Przełożył
Bartłomiej Nawrocki



Tytuł oryginału: *Thieves' Gambit*

First published in the United States of America by Nancy Paulsen Books,
an imprint of Penguin Random House LLC, 2023

Copyright © 2023 by Kayvion Lewis

Cover Illustration: Two Dots

Copyright © for the translation by Bartłomiej Nawrocki

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Dawid Grzelak

Redakcja: Justyna Charęza

Korekta: Marta Tojza, Marta Stochmiałek

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-285-6

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4,
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Keithowi – mojemu największemu fanowi

Rozdział pierwszy

Quest nie może ufać nikomu – chyba że innemu Questowi.

Więc kiedy Quest – a już zwłaszcza mama Quest – każe mi siedzieć powyginanej w paragraf w szafce tak małej, że przestępstwem byłoby trzymać psa w klatce podobnej wielkości, u f a m, że ma ku temu dobry powód. Albo przynajmniej, że to, co mam ukraść, okaże się tego warte.

Gdybym była zwykłym człowiekiem, nogi już dawno odmówiłyby mi posłuszeństwa. Ale okazuje się, że wielogodzinne sesje rozciągania, jakie fundowała mi mama, nie poszły na marne.

Wciśnięta do szafki w opustoszałym skrzydle willi, przez jakieś trzy godziny scrollowałam durnego Insta. W ciągu ostatnich kilku miesięcy uzależniłam się od ludzi nawijających na temat studenckiego życia bardziej niż od k-dram na Netfliksie.

Kiedy o północy zostało mi dwadzieścia procent baterii, musiałam przerwać. Mama ostrzegała mnie, żebym nie zużyła jej na pierdoły – gdybym przegapiła wiadomość od niej, miałabym przerażane. Zamiast czytać, niecierpliwie przebierałam palcami w rękawiczkach, aż ekran nagle sam się zapalił.

WAŻNE: Rosalyn Quest. Zaproszenie do Gambitu.

Ale to nie była wiadomość od mamy tylko... mail? Czy odezwał się w końcu ktoś z któregoś z letnich obozów gimnastycznych? A może z tego dla cheerleaderek? Kilka dni temu zgłosiłam się do kilku różnych programów dla licealistów. Był wtedy środek nocy, a nasz dom w takich chwilach sprawia wrażenie jeszcze bardziej opustoszałego niż zwykle; myśl o spędzeniu kilku tygodni letnich wakacji na tętniącym życiem kampusie z dziećmi w moim wieku wydała mi się wtedy niesamowicie odświeżająca. Aż do dzisiaj nikt jeszcze nie odpisał. Już zaczęłam się martwić, że zauważyli, że świadectwa, które gorączkowo podrabiałam na potrzeby aplikacji, są fałszywe.

Zanim zdążyłam odblokować telefon, na ekranie pojawiło się powiadomienie o wiadomości. Tym razem od mamy. Prawie jakby wyczuła, co chcę zrobić, i wirtualnie dała mi po łapach.

Twoja kolej.

Mail musiał poczekać.

Uchyliłam drzwiczki, wsuwając pod nie palce – odciążone w ten sposób zawiasy nie skrzypiały. To prosta sztuczka, którą opanowałam, zanim jeszcze nauczyłam się podpisywać. Wyjrzałam na zewnątrz.

W korytarzu nie było nikogo. Zgodnie z tym, co ustaliła mama w trakcie rozpoznania, ta część posiadłości zwykle stała pusta; ona i pozostałe pokojówki spędzały większość czasu na polerowaniu waz i eksponatów w prywatnej galerii w drugim skrzydle. Tutaj znajdowało się po prostu mniej zabezpieczeń.

Przekradłam się przez pokoje z nienagannie pościelonymi łóżkami z baldachimami, pojedynczymi regałami i gołymi stolikami. Martwa cisza powinna budzić niepokój, ale przywykłam już do pustych domów. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym uznać, że wróciłam do naszej rodzinnej posiadłości na Andros.

Dzięki zapamiętanym planom dotarłam do pokoju dziennego na pierwszym piętrze, gdzie moją uwagę zwróciła komoda z oprawionymi w ramki zdjęciami. W żadnym z poprzednich pomieszczeń nie zauważyłam niczego tak... osobistego.

Podniosłam fotografię stojącą z tyłu. Grupa rozpromienionych dzieciaków z college'u pozowała na schodach przed budynkiem z czerwonej cegły. Na dole, w rogu, czarnymi równymi literami napisano: „Pierwszy rok”.

Wspomnienia. Znajomi. Nawet gdybym ukradła zdjęcie, nie miałabym żadnej z tych rzeczy. Żeby je mieć, musiałabym sama je zdobyć. Z dała od domu. Z dała od mamy.

Nagły dźwięk sprawił, że znieruchomiałam.

Odstawiłam ramkę i schowałam się za sofą. Skulona, rozwinęłam ulubioną broń. My, Questowie, nie przepadamy za pistoletami – są za głośne. Mama nosi nóż, a babcia – z tego, co opowiadała – miała kiedyś kolekcję strzykawek z działającymi błyskawicznie środkami usypiającymi, z których korzystała chętnie jak kucharz z przypraw w pięciogwiazdkowej restauracji.

Podejrzewam, że nie dałabym rady zatopić ostrza lub igły w ciele drugiego człowieka, więc zamiast tego nauczyłam się posługiwać swoją meteorką. To bransoletka inspirowana starożytną chińską bronią *liúxīng chuí*, której nazwę tłumaczy się jako „meteorytowy młot”. Łańcuch bez problemu owijam sobie wokół nadgarstka, a ciężki metalowy odważnik wielkości wiśni pasuje idealnie do magnetycznego pierścienia na środkowym palcu. Łatwiej przejść przez kontrolę bezpieczeństwa z bransoletką niż z nożami, a w moich rękach jest ona równie skuteczna – jeśli nie zabójcza.

Ciche tuptanie rozlegało się coraz bliżej.

I to by było na tyle w kwestii braku ochrony.

Cofnęłam się, gotowa owinąć łańcuch wokół czyjejś szyi, po czym prychnęłam rozbawiona. Na sofę wskoczyła przepiękna kotka. Syjamska, z piaskowym futerkiem, wyglądała, jakby upaękała sobie łapki

i pyszczek w popiele. Spojrzała na mnie jasnoniebieskimi ślepiami, zamruwała, zeskoczyła na dywan i mrucząc, otarła się o moje kostki.

Owinęłam bransoletę z powrotem wokół nadgarstka i podrapałam zwierzę za uszami. Kotka miauknęła i przewróciła się na plecy. Ewidentnie nic lepszego jej dzisiaj nie spotkało.

Kiedy byłam mała, a mama miała akurat dłuższe zlecenie, oglądałam, jeden za drugim, vlogi z adoptowanymi zwierzakami. Dopiero dużo później zrozumiałam, że żaden człowiek, w którego żyłach nie płynie krew Questów, nigdy nie postawi stopy w naszym domu. To samo tyczyło się zwierząt.

Koty syjamskie cieszą się popularnością, bo są przepiękne, ale samotne nie czują się dobrze. Pozbawione towarzystwa bardzo często przedwcześnie umierają. Odniosłam wrażenie, że właściciel domu niespecjalnie przejmował się tym, czy jego pupilka ma przyjaciela.

Ruszyłam dalej, a kocica podreptała za mną, machając wesoło ogonem. Spróbowałam ją odpędzić. Była słodka, ale mój plan nie uwzględnił kociego pomocnika. Skręciłam za róg i rzuciłam się biegiem przed siebie. Drzwi francuskie oddzielały ten korytarz od następnego. Zamknęłam je, zanim kotka zdążyła przejść za mną. Miauknęła cicho, łamiąc mi serce, po czym czmychnęła w swoją stronę.

Kiedy zniknęła, otworzyłam drzwi z powrotem, żeby przechodząca tędy ochrona nie zauważyła różnicy.

Mapa w mojej głowie poprowadziła mnie do pokoju z odstłoniętym oknem. Kenijskie gwiazdy i księżyc rzucały akurat tyle światła, żebym zobaczyła, jak bez wyrazu urządzono to wnętrze. Estetyczne meble. Gustowny obraz na ścianie. Łóżko, w którym nikt nie spał. Kolejna sypialnia dla duchów.

Na stoliku w rogu pomieszczenia stała tylko jedna waza.

Porcelana z okresu panowania cesarza Qianlonga, mniej więcej 1740 rok. Szacowana wartość – nieistotna. Liczyła się tylko

kwota, którą nasz klient zaoferował za wyniesienie jej ze zbiorów rywala i dołączenie do jego własnej kolekcji. Jeszcze tydzień temu waza stała na wystawie w prywatnej galerii w drugim skrzydle posiadłości.

A potem mama zaczęła pracować tu jako pokojówka.

Nazywała to „układanką”. Przemyciała replikę kawałek po kawałku i składała ją na miejscu. Dla kogoś tak utalentowanego jak ona podmiana autentyku na fałszywkę była dziecinnie prosta. Niestety, właściciel – całkiem słusznie – bał się kradzieży. Codziennie przed wyjściem ochrona przeszukiwała personel. Mama mogła przynieść wazę z pokoju do pokoju, ale nie miała jak jej wynieść.

To było moje zadanie.

Wyciągnęłam walizkę zostawioną przez mamę pod łóżkiem. Wyciełane wewnątrz idealnie tłumilo wstrząsy. Dobra rada: jeśli nie dasz rady zgarnąć łupu w stanie nienaruszonym, nie zwracaj sobie nim głowy.

Kiedy podniosłam wazę, w środku coś zadzwoniło. Przechyliłam ją i na dłoń wysunął mi się sznur diamentów. Mama miała już tyle bransoletek tenisowych, że gdyby włożyła je wszystkie, byłoby ją widać z Marsa. Ale gdybym zapytała: „Dlaczego?”, odpowiedziałyby pewnie: „A dlaczego nie?”.

Z boku walizki znalazłam laserowy wskaźnik. Wycelowałam promień w czujnik ruchu na oknie. Ciekawostka: większość czujników można oszukać zwykłym wskaźnikiem za piąta z internetu. Zabezpieczenia wykrywają ruch tylko wtedy, gdy coś przetnie laser. Dopilnowałam więc, żeby nie mieli wątpliwości, że wszystko działa; celując w czujnik promieniem, jednocześnie wyslizgnęłam się na zewnątrz. Proste rozwiązania są z reguły najlepsze. Już trudniej byłoby, gdyby po prostu zabili okna gwoździami. Trochę trudniej.

Po niecałych sześćdziesięciu sekundach siedziałam na zewnętrznym parapecie jak Spider-Girl. Ścisnęłam walizkę udami i już miałam zasuwac okno, kiedy coś wpadło do pokoju.

Coś, co za wszelką cenę chciało uciec.

Kotka minęła mnie w locie i wyskoczyła prosto na trawnik. Wyłądowała jak... no, jak kot. Jezu, całe szczęście, że wskaźnik nadal miałam wycelowany w czujnik, bo inaczej nie byłoby mi do śmiechu.

Miaucząc nieustannie, błagała, żebym zeszła na dół i się z nią pobawiła. Uparta z niej sztuka, co do tego nie miałam wątpliwości.

Zabrałam laser, zamknęłam okno i przeszłam po ścianie do kamery wychodzącej na trawnik. Miałam dziesięć sekund, żeby ją zatrzymać. Nie było czasu na nic finezyjnego. Wyrwałam dłuższy z dwóch przewodów wychodzących z ceglaneanego muru. Kamera zamarła w połowie obrotu i miała tak zostać, dopóki ktoś jej nie naprawi. Jeśli dobrze pójdzie, mnie już tu wtedy nie będzie.

Kotka darła się wniebogłosy.

– Okej, idę – rzuciłam.

Gadałam z kotem, brawo. Ale ponieważ kamera nadawała tylko obraz – mama zdobyła numer seryjny, więc wcześniej sprawdziliśmy specyfikację – nikt mnie nie słyszał.

Zeskoczyłam na ziemię. Kotka znowu otarła mi się o nogi. Jak mogłam jej się oprzeć? Przysięgam, że kiedy zgarnęłam ją wolną ręką, na chwilę wtuliła się w moją pierś.

Szybko dostałam się do traktorów ogrodowych czekających na poranną zmianę. Niewielki schowek pod fotelem kierowcy, tuż nad silnikiem i za workami z nawozem, miał mi służyć przez co najmniej kilka najbliższych godzin za apartament.

Spojrzałam na horyzont, gdzie falująca trawa sawanny i wysokie drzewa spotykały się z rozgwieżdżonym niebem. W chwilach takich jak te rozumiałam, dlaczego kolejne trzy pokolenia mojej rodziny kochały naszą wędrowną profesję.

Ale nie zawsze tak to wyglądało.

– Wiesz, że nie mogę cię ze sobą zabrać – powiedziałam, a kotka zamruczała delikatnie, kiedy pogłaskałam ją nad ogonem. – Przynajmniej masz ładny widok, co?

Miauknęła i może traciłam rozum, ale zabrzmiało to jak kocie: „Serio?”. Odstawiłam ją na ziemię i odepchnęłam worki, po czym wcisnęłam się do kryjówki, przytulając walizkę do piersi. Śmierdziało benzyną i pleśnią. Dobra, niech będzie. Mama kazałaby mi pomyśleć o nowym laptopie. Warkoczykach za pięćset dolarów. Wykonanych na zamówienie trampkach, w których zobaczy mnie tylko ona i ciocia.

Ułożyłam nawóz na miejscu, ale kotka prześlizgnęła się między dwoma workami. Umościła się na walizce, mrużąc i miaucząc.

– Ciebie też mam ukraść?

Polizała mnie po policzku. No dobra, niech zostanie. Na chwilę. Zastanawiałam się, po jakim czasie jej właściciel zauważyłby, gdybym f a k t y c z n i e ją ukradła.

Z miejsca, w którym się ukryłam, dostrzegłam błysk światła. Nie... dwa? Ktoś chodził po trawniku. Szybko... czy coś uruchomiło alarm? Zauważyli kamerę?

Kotka zamruczała jak elektryczny wiatrak. Chciałam ją uciszyć, ale niby jak ucisza się kota?

Znowu sięgnęłam po bransoletkę. Wydawało mi się, że idą w moją stronę. Jak, do cholery, miałam się stąd wydostać na tyle szybko, żeby im prysnąć? Kurde.

– Nala... – Mężczyzna zaklął. W słoiku zabręczały jakieś chrupki. – Gdzie jesteś, ty mała paskudo?

Kurde, kurdeee...

Spróbowałam wypchnąć Nalę, ale ta za każdym razem wskakiwała na walizkę, cały czas m i a u c z ą c.

I wtedy przypomniałam sobie jeszcze jedną informację na temat kotów syjamskich. Była to najgłośniejsza rasa.

– Słyszę ją – odezwał się drugi głos. – Jak niby uciekła?

Ten pierwszy prychnął.

– Pojęcia nie mam. Głupi sierściuch zawsze chce uciec. Dopóki szef nie wróci, posiedzi sobie w szafie.

Siłą woli próbowałam zmusić Nalę, żeby była cicho. Dlaczego po prostu nie uciekła, kiedy wyskoczyła przez okno? Mogła być już daleko stąd. Na myśl o tym, że zamkną ją w szafie, przerażoną, na nie wiadomo ile dni czy tygodni, poczułam wyrzuty sumienia. Gdyby tylko była cicho, zabrałabym ją ze sobą. Chrzanić to, co mówiła mama.

Ale ona nie chciała siedzieć cicho.

A oni byli coraz bliżej.

Przepraszam, Nala. Wykręciłam rękę, żeby sięgnąć do tylnej kieszeni po wskaźnik. Przejechałam laserem po walizce, a kotka natychmiast wbiła wzrok w promień. Jej mięśnie zeszywniały. Kocie odruchy zostały aktywowane. Na ułamek sekundy mężczyźni zwrócili latarki w drugą stronę. Czując się o wiele gorzej, niż przypuszczałam, skierowałam laser na ścianę posiadłości. Nala wystrzeliła do przodu i popędziła przez trawę w stronę świecącego punktu. Prosto do ludzi, którzy jej szukali.

– Mam ją!

Noc rozdarło desperackie syczenie kotki. Walczyła z całych sił, ale już przegrała.

Światła latarek zniknęły. Podobnie jak wszystko inne. Słyszałam tylko swój stłumiony oddech.

Nienawidziłam się za to, co jej zrobiłam. Ale powinna wiedzieć, że nikomu nie wolno ufać.

Rozdział drugi

Po każdej robocie mama nigdy nie pyta: „Nic ci nie jest, Ross?“, tylko zawsze: „Masz to?“.

Wytoczyłam się z traktora i wylądowałam prosto u jej stóp. Pomijam fakt, że przez ostatnie pół godziny od odpalenia silnika o mało nie umarłam z przegrzania i prawie udusiłam się spalinami. Nic mi nie było. Jeśli żyłam i byłam z nią, nic mi nie było. Liczył się tylko łup.

– Moja córeczka taka zdolna i w ogóle – powiedziała mama, otwierając walizkę i przyglądając się zdobyczy. W kombinezonie ogrodnika wyglądała kompletnie jak nie ona, nawet kiedy wsunęła sobie na nadgarstek nową bransoletkę. Zwykle nosiła się jak typowa laska z tropików.

Westchnęła, patrząc, jak brylanty tańczą w świetle porannego słońca. To muszę przyznać – diamenty jej pasowały. Miała urodę prawdziwej gwiazdy. Przedłużane włosy i gustowne doczepiane rzęsy. Szerokie biodra i wcięcie w talii, które uwielbiała podkreślać, były całkowitym przeciwieństwem mojej szczupłej sylwetki. Jej styl robił wrażenie. Nie paradowała w futrach i szpilkach, ale jeśli tylko przebywałyśmy w miejscu, w którym mogła błysnąć, zawsze wszyscy się za nią oglądali.

Stąd miłość do diamentów. I wszystkiego, co sprawiało, że błyszcząca jeszcze bardziej.

Ucałowała mnie szybko w czoło. Pachniała skoszoną trawą i benzyną, ale ja pewnie śmierdziałam gorzej.

– Zdolna jak mama – odpowiedziałam, bo wiedziałam, że lubi, kiedy tak mówię. Wskoczyłam za kierownicę i zrobiłam jej miejsce. Zadowolona i uśmiechnięta, prawdopodobnie bardziej z powodu komplementu niż udanego skoku, uruchomiła traktor. Ruszyliśmy w stronę granicy posiadłości, gdzie czekały na nas jeep, woda i klimatyzacja. Od tej ostatniej aż zachciało mi się płakać.

Przycisnęłam czoło do wywietrznika w aucie.

– Następnym razem możemy jechać w jakieś chłodniejsze miejsce. – Mama zauważyła, jak modłę się do zimnego powietrza płynącego z deski rozdzielczej jeepa. – Może południowa Argentyna. Albo Alpy, co?

– Przecież dosłownie przed chwilą skończyłyśmy. Nie wspominając o Boschertach.

Słyszałam, że nie spodobały im się nasze ostatnie wyczyny w Danii i we Włoszech, którymi naruszyłyśmy ich nieoficjalne panowanie w Europie. W świecie rodzinnych złodziejskich imperiów prym mogła wieść tylko jedna dynastia. Okej, jedna na kontynent.

Zmusiłam się, żeby się oprzeć, wyjęłam ładowarkę i podłączyłam rozładowany telefon. Mama zerknęła na mnie z dezaprobatą. Rozmawiałyśmy, więc powinnam poświęcić jej całą swoją uwagę.

– Całe szczęście, że prędzej dam się złapać na kradzieży sztucznej biżuterii niż na przejmowaniu się tym, co pomyślą Boschertowie. – Uniosła perfekcyjnie wyregulowaną brew, więc potaknęłam tylko, tak jak tego oczekiwała.

Do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– To znaczy, jeśli chcesz, żebyśmy miały więcej zleceń w Europie, pewnie dobrze by było, gdyby ktoś się tam rozeznał. Może

gdym poszła na chwilę do szkoły, pod przykrywką, to byłaby dobra okazja?

Wstrzymałam oddech. Pewnie istniał bardziej subtelny sposób na powrót do tematu mojego wyjazdu. Nigdy w życiu nie pojechałam nigdzie bez mamy albo cioci, a byłam już w wielu miejscach. Kiedy parę miesięcy temu skończyłam siedemnaście lat – czyli tyle, ile dzieciaki na Bahamach mają na koniec szkoły – myślałam, że zacznę być mniej... no wiecie.

– Hm... może nie. – Mama nie odrywała wzroku od pustej drogi i pokrytej trawą sawanny. Czekałam na rozwinięcie. Powód, cokolwiek. Zamiast tego dodała: – Kiedy wrócimy, poobijamy się i cały tydzień pooglądamy jakieś badziewia, co, córeczko?

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Brzmi fajnie.

Usatysfakcjonowana włączyła muzykę z telefonu i podgłośniła. Mój ekran rozbłysnął. Mail. Obóz.

Odsunęłam się z telefonem od mamy i odczytałam wiadomość.

Droga Rosalyn,

dziękujemy za zgłoszenie na nasz letni obóz gimnastyczny dla zaawansowanych. Z przyjemnością chcemy zaprosić Cię na drugi turnus (w dniach od 1 do 28 lipca). Jeśli nie jest za późno, mamy też jedno wolne miejsce w pierwszym terminie (od 2 do 29 czerwca). Jako organizatorzy jednego z najlepszych kursów w kraju co roku przyciągamy dziesiątki utalentowanych sportowców, którzy chcą poznać nowych kolegów i koleżanki. Mam nadzieję, że razem z nami weźmiesz udział w tym wyjątkowym wydarzeniu.

Dalej podano informacje na temat zakwaterowania i opłat oraz dane kontaktowe. Im dłużej czytałam, tym trudniej było mi zachować spokój. Fejkowe świadectwa i podrobione wyniki zawodów

naprawdę zadziałały. Mogłam tam być za... niecały tydzień, jeśli tylko chciałam. Dzisiaj był dwudziesty szósty maja.

Nala powinna była uciec strażnikom, kiedy miała okazję. Teraz została uwięziona. Nie zamierzałam popełnić tego samego błędu.

Odpisałam:

Bardzo chętnie!

Mama rapowała do słów z rozkręconych na maksa głośników i szturchnęła mnie, żebym do niej dołączyła. Jak zwykle zacisnęłam usta i udawałam, że nie chcę. Przy zwrotce o lodzie na nadgarstku potrząsnęła nową bransoletką, na co parsknęłam śmiechem. Na zewnątrz wszystko było tak samo. Ten sam haj, co po każdym skoku. Ta sama ja i ona. Ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Czułam się, jakbym pod jej nosem przestawiła swoje życie na inne tory, a ona tego nie zauważyła.

Przescrollowałam skrzynkę odbiorczą. Gdzie była wiadomość, którą dostałam, zanim napisała do mnie mama? Dziwne. Jeśli to nie był mój prywatny mail...

Czarna skrzynka. Tak nasza rodzina przyjmowała zlecenia. Dostępna tylko z poziomu deep webu, w stu procentach niehakowalna i nienamierzalna – tak przynajmniej wytłumaczyła mi to mama, kiedy miałam osiem lat. Trzeba było znać hasło, żeby w ogóle wysłać na nią maila. N i g d y nie dostawałam powiadomień z czarnej skrzynki. To powinno być niemożliwe.

Wpisałam kolejno pięć haseł dostępu.

Wiadomość wciąż tam była. Nieotwarta. Mama pewnie jeszcze nie sprawdziła poczty.

Serce podeszło mi do gardła. Ktoś przysłał na tę skrzynkę wiadomość tylko do mnie?

Witaj, Rosalyn Quest,
gratulujemy – zwróciłaś na siebie naszą uwagę. Zostałaś zaproszona do udziału w tegorocznym Złodziejskim Gambicie.
Turniej rozpocznie się za tydzień. Szacowany okres trwania to dwa tygodnie. Prosimy o kontakt w celu dopełnienia formalności.
Organizatorzy